

Miał stary Jofka psa

Miał stary Jofka psa, a był to pies szczególny. Mówiono o nim Bury, bo taką miał sierść, ale Jofka nazywał go Migus, bo szybki był i sprytny. Ten pies znany był w całej okolicy, bo prócz zalet, jakie posiadają psy, odebrał również całkiem ludzkie, a w dodatku chrześcijańskie wychowanie. Jofka bowiem od samego początku, od szczeniaka, zabierał go ze sobą na msze do miejscowego kościoła. Niewiele też sobie robił z kąśliwych uwag dewotów i dewotek, przychodził z psiakiem i już. Dwaj kolejni proboszczowie, którzy głosili słowo Boże w tym kościele, z uśmiechem godzili się na obecność Migusa podczas mszy, czasami nawet jakimś miłym słowem wyróżniali go wśród zebranych. Pierwszy proboszcz miał zwyczaj mówić – „Migus ziewa, czas kazanie kończyć”, drugi, często po nabożeństwie, za zgodą Jofki gładził kudłaty grzbiet zwierzaka i podawał mu ciastko – „Jedz, Moryc” – zachęcał i wciąż zapominał jak się pies wabi. Inaczej sąsiedzi Jofki, oni, choć milczący, mieli mu jego postępowanie za złe. „Dobrze, że krowy nie przyprowadzi albo świni” – odzywali się gniewnie. „Gdyby to każdy chciał z psem albo kotem do kościoła, to by dopiero było – brała ich złość – Kościół to nie arka Noego, obora, chlew albo psia buda”.

Jofka i Bury mieszkali na wybudowaniu, z dala od wsi, byli samotni, to znaczy mieli tylko siebie. W małym domu nad dużym jeziorem spędzali lata i zimy, łowili ryby i uprawiali pola na wzgórzach pod sosnowym lasem. Najczęściej widziano ich, jak w łodzi płynęli na połów przed świtem albo gdy wracali. Żyli szczęśliwie, nikomu nie szkodząc. Potem jednak wszystko zmieniło się na gorsze. Po śmierci ostatniego proboszcza, przyjechał z miasta, bryczką zaprzęzoną w dwa gniadosze, nowy. Był młody, smukły jak kobieta, ciężko było wydobyć z niego choćby słowo. – „Z kamienia by więcej wycisnął niż z tego mędrka” – rozprawiano po chałupach. Ksiądz Gerard, bo tak miał na imię, wprowadził wiele innowacji na plebani: przywiózł ze sobą służącego i kucharkę, a także cały wóz książek, które z braku odpowiedniej ilości regałów rozłożono tymczasowo na podłodze. Kilkadziesiąt woluminów, jakie zebrali dwaj pierwsi proboszczowie, spośród których wcale cennymi wydawały się być tytuły dotyczące ziołolecznictwa, uprawy ogrodu i przygotowania nalewek, zostały wciśnięte w najciemniejszy kąt nowo powstałej biblioteki. Zająła ona dotychczasowy pokój gościnny, gdzie świętej pamięci proboszcz często grywał w karty i niejedną kurę przegrał dla dziedzica. Swojego pecha w kartach tłumaczył zabawnie – „Kto nie ma szczęścia w kartach, ma szczęście w miłości, w miłości do Boga, oczywiście”. Wszelkie plotki łączące go z poprzednią kucharką, Zuzanną, okazały się bowiem złośliwą potwarzą, dziewczyna, słynąca

z wesołego usposobienia, wyszła wkrótce za syna młynarza i urodziła dziecko tak do niego podobne, że gdyby je obsypać mąką, byłoby nie do odróżnienia. Nowy proboszcz skrócił msze, jego kazania były tak zwięzłe i mądre, że nikt ich nie rozumiał. Kiedy zdenerwowany tym dziedzic zwrócił mu delikatnie uwagę, że przemawia do prostaczków i powinien mówić jaśniej, na następnym kazaniu, po Ewangelii głoszącej, że robotnicy ostatniej godziny dostaną tyle samo, co pracujący w Winnicy od świtu, powiedział – „Pan Bóg daje każdemu, ile chce, bo daje ze swego! Nam się to może nie podobać, ale nic nam do tego. Amen”. Całe dnie młody ksiądz spędzał w sadzie czytając. Błady był jak śmierć i gdy wyruszał do chorego, zakładał na głowę kapelusz z tak szerokim rondem, jakiego dotąd w tych stronach nie widziano. Ponieważ był zarozumiały i bez przerwy widziano go z nosem w książkach, już niebawem przyłgnęło do niego pogardliwe określenie Księżyk i właściwie rzadko kiedy przypomniano sobie, że tak naprawdę na imię ma Gerard.

Od początku można było przeczuwać, że konflikt między nowym księdzem a rybakiem był nieunikniony, nie po to ksiądz codziennie nakazywał zmiatać, zmywać i szorować podłogi w kościele, żeby mu potem jakiś pies zapaskudził podłogę domu Bożego. Do ludzi, którzy wkraczali do kościoła na nabożeństwo, kościelny, zamiast wołać „Pochwalony...” syczał – „Wycierać buty, wycierać”. Ludzie czuli się upokorzeni, wiadomo przecież, że nikt, żaden prawdziwy chrześcijanin, nie wybierze się do Pana Boga w gości nie wyczyściwszy sobie butów, a nawet w słotę każdy patrzy, żeby błota do środka kościoła nie wnosić. Kiedy ksiądz po raz pierwszy zobaczył psa w kościele omal nie doznał ataku apopleksji, jak był błady, tak zrobił się czerwony, ręce mu drżały, kiedy wkładał opłatek do ust wiernych przystępujących do komunii. Zaraz też po błogosławieństwie wyskoczył do Jofki – „Co to znaczy? – podniósł głos – Kto pozwolił z psem? Tutaj! Niepodobna!” – mówiąc zapowietrzył się. Obu mężczyzn w jednej chwili otoczyła gromadka gapiów, a choć kościelny usiłował rozgonić publiczność i wyrzucić ją na zewnątrz, ta stała jak mur. Jofka nie przejął się słowami proboszcza – „Pies jest mój” – powiedział. Tylko tyle i, odwróciwszy się na pięcie, wyszedł. Na progu kościoła spojrzął w stronę ołtarza i przeżegnał szerokim gestem. Proboszcz był wstrząśnięty. „Kto to?” – spytał wiernych, a oni przekazali mu wszystko, co wiedzieli o Jofce i jego psie, o ich złości na niego i bolesnym fakcie, że poprzedni proboszczowie dopuszczali do takiego zgorzenia, a nawet mu przyklaskiwali. Lał się strumień ich goryczy przez dobrą godzinę, wiecowali nad tym przed ołtarzem przedstawiającym św. Jana, obmywającego Chrystusa Zbawiciela w wodach Jordanu, przed Antonim Padewskim i Krzyżem Świętym, pod którym w ramionach matki spoczywał martwy Zbawiciel.

Młody ksiądz wrócił na plebanię nieswój, zły. Nic nie było w stanie ukoić jego myśli – ani dialogi Platona, ani tragedie Eurypidesa, ani poezje Williama Blakea. – „Dlaczego mnie właśnie muszą spotykać takie rzeczy, najpierw to probostwo na krańcach świata, służba wśród ludzi, których nie rozumiem, a teraz jeszcze burząca mój, z takim trudem budowany, spokój, tragikomiczna postać człowieka z psem, kwintesencja tutejszego chrześcijaństwa, które nigdy nie słyszało i nie usłyszy o świętym Augustynie, bo ten żył tysiąc pięćset lat temu”. Ksiądz myślał tak długo i mocno, że zasnął dopiero o świcie. Trzeba z tym skończyć – postanowił. Kościelny otrzymał nakaz – „W przyszłą niedzielę psa nie wpuszczać”. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Jofka, choć niewysoki, był nie lada siłaczem, rzadko który chłop miał odwagę wejść mu w drogę. Od czasu, gdy przed siedmioma laty wypędził z okolicy grasującego tu zbója, Tomasza, wszyscy mieli się przed nim na baczności. Lata robiły swoje, ale Jofka w dalszym ciągu potrafił na swych barkach przenieść łódź przez las do drugiego jeziora. Kiedy kościelny zagroził mu drogę, rybak przeszedł mimo, złapany za ramię, grzecznie, ale stanowczo, odsunął rękę intruza i wszedł do środka. Bury za nim. Proboszcz zwlekał z rozpoczęciem mszy mając nadzieję, że lud Boży, wspominając poprzedni tydzień i wspólne narady, zdecyduje się wyprowadzić psa i jego właściciela, a wówczas on triumfująco wkroczy przed ołtarz. Tak się jednak nie stało. Kiedy po „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen” zwrócił uwagę, że do kościoła nie powinno się wprowadzać psów, cisza była taka, jak makiem zasiał. Jofka stał naprzeciw niego, Bury obok i mieli takie miny, jakby to nie o nich chodziło. Ludzie jednak zaczęli się od nich odsuwać, czego wcześniej w kościele nie bywało. Poprzedni proboszczowie nie dopuściliby do tego, obecny, można powiedzieć, z faktu się tego ucieszył. „Oni są po mojej stronie” – pomyślał.

Wojna z Jofką i psem stała się od tego czasu dla młodego proboszcza ukrytym sensem życia, jego obsesją. Nie było dnia, a potem nawet godziny, aby nie myślał, jak postawić na swoim. Wcześniej nie interesowali go parafianie, teraz zaczął ich odwiedzać, przychodził wieczorem, siadał za stołem i pytał, jak prokurator. O to, jak im się wiedzie, czy są zdrowi – oczywiście nawet nie udawał, że słucha odpowiedzi. Interesował go jedynie Jofka, skąd jest, co robili jego rodzice, czy zawsze chodził na msze, a nawet czemu się nie ożenił. Ksiądz szukał wśród swojej trzódki takich sprzymierzeńców, którzy pomogliby mu zrobić w parafii porządek, a ponieważ kto szuka ten i znajdzie, udało się Księżykowi w ciągu dwóch tygodni zwerbować do służby Bożej trzech młodych mężczyzn. Rzekł do nich, jak Jezus do apostołów – „Paście baranki moje”. Nowi ministranci mieli powitać Jofkę i po swojemu przekonać go do zawrócenia ze złej drogi. Ksiądz ustawił ich przed kościołem, a sam poszedł przygotować się do mszy, nałożyć swoje szatki, przeczesać rzadziejące włosy. W napięciu zacierał ręce – „Nie

poskutkowała perswazja, musi poskutkować siła”. Nie miał zresztą sobie nic do wyrzucenia, po pierwsze – bronił słusznej sprawy, po drugie – to miejscowi, koniec końców, postanowili położyć kres zgorszeniu. Trzech młodych mężczyzn czekało na przyjście rybaka, a chociaż dzień był dżdżysty – zdjęli odświętne kapoty. Dostać po gębie, ząb stracić, to nie tak źle, jak podrzeć kapotę, pierwsze samo się zagoi, drugie trzeba reperować albo, nie daj Boże, kupić. Dzwony zaczęły grać, kiedy przed kościołem pojawił się Jofka, szedł szybko, bo spóźniony, na mężczyzn uwagi nie zwracał. Kiedy przyskoczyli, aby mu drogę zastąpić, Bury pierwszemu rzucił się do kolana, ugryzł mocno i odskoczył przed kopnięciem. Zanim drugi z napastników machnął ręką, na ziemię powalił go silny cios rybaka. Widząc to, trzeci, choć najwyższy i najpotężniejszy, zwątpił. „Na co wam to było? – powiedział do nich Jofka spokojnie – Przed domem Bożym na chrześcijanina nastawać. Co bym ja was tu więcej nie widział!”. Jeszcze długo potem mówiono we wsi o tym zdarzeniu, a proboszcz wiele godzin spędził na klęczniku zanosząc swoje pretensje przed tron Boży, jak Filip Hiszpański po klęsce wielkiej armady. Z żalem w głosie pytał Najwyższego – „Dlaczego wspierasz bezbożników?” Potem przyszła zima i proboszcz zmienił taktykę. Odtąd każde jego kazanie było kierowane pod adresem milczącego Jofki, który, stojąc lub siedząc na końcu kościoła, zdawał się przysypiać. Kiedy była ewangelia o potrzebie wybaczenia, ksiądz ze skrwawionym sercem rzucał w stronę rybaka gorące słowa – „ja ci wybaczam, wybaczam ci, niegodziwcze podły, nie tylko ten jeden raz, ale i siedemdziesiąt siedem razy”. Kiedy było o synu marnotrawnym spoglądał na Jofkę i wołał – „Wróć, wróć synu do owczarni”. Był więc Jofka jawno grzesznikiem i faryzeuszem, Judaszem Iskariotą i mieszkańcem Sodomy, mógłby zostać łotrem na krzyżu, do którego Chrystus powiedział w ostatniej godzinie – „Zaprawdę powiadam ci, dziś będziesz ze mną w raju” – gdyby tylko chciał. Przez całą zimę trwało to słowne nawracanie i nie przyniosło spodziewanego rezultatu, pies wciąż pojawiał się na mszy i był jak policzek dla autorytetu proboszcza, jak rękawica rzucona pod stopy jego rycerskiej duszy. Zbliżały się święta, czas łagodności i powszechnego odpuszczenia win. „To prosty człowiek – pomyślał przy wigilijnym stole proboszcz. Z pewnością nie kieruje nim złość, raczej dziwny upór”. Wtedy, przy śledziku i owocowej zupie, śpiewając kolędy, ksiądz zaczął się zastanawiać – „Może zbyt surowo oceniłem tego człowieka, może inną drogą trzeba dotrzeć do jego serca, aby zrozumiał swój błąd”. Potem jednak nie minął tydzień, a zapomniał zupełnie o swoich świątecznych postanowieniach, wśród których znajdowało się także to podkreślone trzy razy w podręcznym kalendarzu – „Spróbuję inaczej”.

Mimo to, coś w młodym proboszczu zaczęło się zmieniać. Widział to każdy – ksiądz poweselał. Z pewnością miała na to wpływ wiosna, niebywale piękna i szybka. Już w marcu

stopniały zupełnie śniegi, a słońce tak przygrzewało, że z książką można było spokojnie wyjść na spacer albo do ogrodu, posiedzieć pod gruszą, uprzednio jednak owinąwszy nogi szczelnie kocem. W połowie kwietnia przyszedł list od wuja z Gdańska, w którym informował siostrzeńca, że rozmawiał z kimś bardzo wpływowym w kurii i choć nie chciał niczego obiecywać przedwcześnie, zapewniał, że jego zdaniem wszystko jest na dobrej drodze – jakieś probostwo w mieście lada miesiąc powinno się trafić. To był miód na serce młodzieńca, z listu ucieszył się tak bardzo, że go ucałował zupełnie tak, jakby to był list od Luizy – dziewczyny, którą kiedyś bardzo, bardzo kochał. Wychodząc za mąż za starszego od siebie o dwadzieścia pięć lat bogatego przedsiębiorcę złamała mu serce. Jednym słowem wyjaśniła swoje wiarołomstwo – oddając mu książkę, mały tomik poezji Rilkego, włożyła do niej bilecik. „Rozsądek” – napisała w poprzek, tylko tyle. Wtedy podjął decyzję – pójdzie w ślady swego wuja, zostanie księdzem. Bez powołania, z rozsądku jak ona, wybrał drogę życia. „Będiesz miał spokój i dużo czasu na czytanie” – ucieszyła się matka, a ojciec, zmarszczywszy brew, dodał – „Mam nadzieję, że dobrze to przemyślałeś”. Rodzic długo nie mógł się pogodzić z faktem, że zacne i rzadkie w tych stronach nazwisko Narekus za sprawą jego syna Gerarda zginie bezpowrotnie. Młodzieniec nigdy nie żałował swojego wyboru, w seminarium czuł się dobrze i choć nie osiągał nadzwyczajnych wyników, to działo się tak, ponieważ nie potrafił przymusić się do nauki tego, co wydawało mu się mało interesujące. Jego prawdziwą pasją była starożytna filozofia, dzieła myślicieli Grecji i Rzymu pochłaniał z wielką żarliwością. Bardzo dobrze czuł się w tym odległym, bezpiecznym świecie uczonych dyskusji, stając się miłośnikiem przeszłości mało zwracał uwagi na to, co działo się wokół i był szczęśliwy. Teraz, po liście wuja, miał nadzieję powrócić do dawnego stylu życia, do miasta pełnego bibliotek, księgarń, do kilku przyjaciół, z którymi lubił się spotykać, do swoich planów, aby wyruszyć w podróż do słonecznej Italii. Rozradowany tą perspektywą lepiej znosił monotony trud codziennych obowiązków wiejskiego proboszcza, celebrował nabożeństwa, udzielał sakramentów, odprowadzał na wieczny odpoczynek, święcił ziarno, wóz strażacki, nowe czworaki przy dworze, był obdarowywany kurami i jajkami. Któregoś razu w jednym z gospodarstw pies zerwał się z łańcucha i pogonił za nim, Gerard uciekał co sił w nogach, ale pies był szybszy, złapał w zęby sutannę i wygryzł w niej dziurę. Przerażony właściciel psa podniósł larum, wziął kij w rękę i bił nim zwierzaka wściekle. Proboszcz musiał interweniować, z trudem przekonał chłopca, że sutanna była stara. – „Gospodyni tak ją zaszyje, że nie będzie widać” – powiedział. Pies, który to zrobił, był całkiem podobny do Burego, być może był jego bratem.

Kiedy nadszedł słoneczny maj, Jofki zabrakło w kościele. Nie przyszedł raz, zdarzało się, mógł zachorować, ale kiedy nie było go drugi raz i trzeci, proboszcz zapytał ludzi – „Widzieliście Jofkę?”. „Zwariował – odparli chórem – spsił się do końca. Ujada na ludzi. Mówi, że mu psa otruli”.

– „Kto?” – spytał ksiądz

– „Podobno Joch, ten, co go pies ugryzł pod kościołem. Odgrażał się, że zabije zwierzaka” – tłumaczyli ludzie.

Proboszczowi ciężko zrobiło się na sercu, nie miał co prawda żadnych wyrzutów sumienia, ale sytuacja była trudna. „Trzeba przynieść pociechę bliźniemu – ksiądz podjął decyzję – to święty obowiązek chrześcijanina” – mruknął niewyraźnie i zaraz po obiedzie wybrał się w drogę. Szedł wzgórzami w stronę jeziora, a choć mieszkał w tej okolicy niemal od roku, nigdy tu nie zaglądał. Wzgórza były niewysokie, wszędzie rosło świeże zboże, pola pszenicy i żyta ciągnęły się aż do ściany lasu, który z każdej strony otaczał ten świat mocarnym ramieniem. W dole spoczywało jezioro szerokie i piękne. Mówiło się, że ma kształt ogromnego krzyża rozłożonego wśród lasów i pól, jego wody, w dzień słoneczny jak ten, były błękitne. Przyjemny wiatr znad jeziora docierał na wzgórze. Proboszcz, stojąc na jednym z nich, zamknął oczy i wziął głęboki oddech, jeden i drugi, aż do nasycenia. Słońce grzało mu twarz, wiatr czesał płowe włosy, przykurzoną sutanną zamiatał polną ścieżkę, wkoło pachniało wiosną.

– „Jestem taki szczęśliwy” – pojął to nagle i, choć może się to wydać dziwne, wcześniej nigdy nie czuł się tak wspaniale, nawet w domu rodzinnym, gdzie konwenanse zabiły naturalne odruchy serca, nawet w ramionach Luizy, bo przecież jej miłość była oszukana. Tutaj, na wzgórzu, nad jeziorem, młody ksiądz odnalazł piękno swego powołania.

Schodząc w dół odrzucił wzięty z lasu kij, służący niby to za laskę, ale w rezultacie mający stanowić broń w razie ataku Burego albo... Jofki. Dom Rybaka, choć stary, był zadbane. Drewno ścian mocno poczerniało, obok domu pobudowano, otwarty teraz ze wszystkich stron, duży szałas pokryty strzechą. Musiały się pod jego dachem zmieścić wszystkie łodzie i sieci. Tam zobaczył ksiądz siedzącego na ławie Jofkę. Rybak przyglądał się nieoczekiwanemu gościowi z uwagą. „Pochwalony” – przywitał się proboszcz. Jofka nie odpowiedział.

„Przyszedłem w odwiedziny – mówił dalej – Nie widziałem w kościele, to pomyślałem, że słabujecie”.

– „Nie ja, ale pies” – powiedział rybak.

– „Słyszałem, to coś poważnego?” – dopytywał się Gerard.

– „Struli go” – usłyszał. Dopiero teraz ujrzał ksiądz pod nogami rybaka szerokie posłanie, zwierzę leżało na nim jak martwe, tylko na chwilę podniosło głowę, zastrzygło uszami.

– „Skąd to przypuszczenie? Mógł sam zjeść coś niedobrego, jakąś ... – zastanawiał się, co mógłby przypadkiem zjeść wiejski pies – padlinę”.

– „Struli go – powtórzył rybak – Będzie miał ksiądz teraz spokój” – dodał po chwili gorzko. Proboszczem wstrząsnęło, słowa rybaka wpadły weń jak moneta do pustej skarbonki. Jak on mógł powiedzieć coś takiego? „Ja do niego przyszedłem z życzliwością, a on we mnie ciska kamieniem” – pomyślał.

Wrażenie lekkości, jakiego jeszcze przed chwilą doświadczał, rozplynęło się, był tak zdenerwowany, że zaczęły mu drżeć nogi w łydkach, ręce, nawet usta.

– „To poważne oskarżenie – wyjąkał – ja niczyjej krzywdy nie pragnąłem”.

Jofka wstał, wyprostował się, a proboszcz przez chwilę pomyślał, że rybak rzuci się nań i pobije. Przestraszony skulił się i zbladł.

– „A czego się ksiądz spodziewał? Chrystus dał radę: mów tak i tak, więc mówię księdzu prosto w twarz – to wasza wina. A teraz, idźcie z Bogiem”.

Odwrócił się do młodzieńca plecami.

– „Moja wina? Moja? – ksiądz usiłował się bronić, podnosił głos, ale wówczas ten załamywał się – „Może wasza. Po co było przyprowadzać zwierzę do kościoła, prosiłem, przekonywałem. Nie moja wina, żeś się z ludźmi skłócił. Napisane jest – Nie otwieraj okien swojego domu na ciemność, bo ciemność cię pochłonie. Doczekałeś się” – powiedział i odszedł, a gdy już oddalił się na kilka kroków niespodziewanie usłyszał za sobą słowa, wołanie. – „Moja ciemność jest także twoją ciemnością, chłopcze!” – krzyczał rybak. Ksiądz, przechodząc przez miejsce, gdzie wcześniej doznał radosnego uniesienia, ze złością kopnął obcasem w trawę. Całą drogę rozmyślał o zdarzeniu, był wściekły, że dał się ponieść emocjom i nie wykorzystał szansy na rozmowę z rybakiem. Teraz, wracając, kończył tam zaczęty dyskurs. Prowadził go życzliwie, używając rzeczowych argumentów, w jego wyobraźni spór przybierał formę akademickiej rozmowy, w której on był mentorem, a Jofka słuchaczem. Rybak uczenie wyrażał swoje wątpliwości, a nawet potrafił je przybrać w odpowiednią dla języka filozoficznego formę, proboszcz, wyjaśniając rozmaite zawiłości, od czasu do czasu pozwalał sobie na subtelny dowcip lub interesującą dywagację. Zapewne młodzieniec cieszyłby się swoją elokwencją jeszcze długo, gdyby nie wdepnął w świeży krowi placek. But zanurzył się w nim niemal całkowicie, sutanna była również zabrudzona. Właśnie wtedy ksiądz zauważył stojącego na poboczu małego chłopca.

– „Czemu mnie nie ostrzegłeś, bęcwale?” – warknął na niego, ale ten nic nie odpowiedział. Stał dalej przy drodze obok łąciatej krowy i lekko rozdziawiając usta, patrzył.

– „Będziesz się z tego musiał wypowiadać– odgrażał się proboszcz – Pamiętaj, pamiętaj! – powtarzał bezsensownie.

Dopiero kiedy ksiądz był już daleko, mały zaczął się śmiać i śmiał się do łez przez czas jakiś.

– „Będzie ksiądz miał szczęście – przywitała Gerarda gospodyni, gdy tylko zobaczyła, co zaszło – Tak u nas mówią”.

Proboszcz był rozsierdzony – „To głupio mówią. Wielcy mądrale!”.

– „Jak się chodzi po polach, to trzeba pod nogi patrzeć, nie w niebo” – gderała. Tego było już proboszczowi za dużo – „Jak oni mnie tu traktują, jak chłopca, któremu można robić nauki” – pomyślał.

– „Nie pouczajcie mnie, kobieto. Zawsze trzeba patrzeć w niebo, zawsze” – podkreślił.

– „Jak zawsze, to zawsze – powtarzała – Tyle, że w gówno wleźć można”.

Dopiero wieczorem, czytając „O naturze wszechrzeczy” Lukrecjusza, ksiądz uspokoił się. Wypił nawet, czego nie miał w zwyczaju, solidny kieliszek koniaku i trzy herbaty wzmocnione spirytusową wkładką. Kładł się do łóżka niemal pijany. Kiedy zasypiał, czuł w sobie dziwną wewnętrzną energię, która, przeniesiona w świat po tamtej stronie, pozwoliła mu do świtu wędrować ciemnymi ulicami jakiegoś nieznanego miasta, zaglądać do domów, a nawet śpiewać sprośne piosenki. Ścigany przez miejskie straże chował się w bramie, ale nie był przestraszony, jakiś łobuzerski duch kazał mu prowokować los, zaczepiać mijanych ludzi, nie tylko szanowanych obywateli, ale również domokrażców i kobiety lekkich obyczajów. „Jak tam dzień?” – pytał ich o zdrowie. Było mu dobrze – nawet psy, które zazwyczaj stroniły od niego, pozwalały mu się głaskać. Karmił gołębice i jadł jakiś owoc, który zabrał ze straganu, ukradł. Dopuszczał się takich rzeczy, które w życiu napawałyby go największym wstrętem, na przykład w gospodzie wypił kufel piwa, zjadł darmową zupę z żebrakami. Kiedy się obudził, miał kaca, bolała go głowa, a w ustach odczuwał potworną suchość. Zaraz też na klęczniku podziękował Bogu za to, że to, co się wydarzyło, było tylko snem, a nie rzeczywistością, za którą musiałby z pewnością ciężko odpokutować. Tak więc, miał Księżyk poczucie, że przeszedł ciemną dolinę, a choć uczestniczył w grzechu swych bliźnich, to działo się to bez jego przyzwolenia. Grzeszył bezgrzesznie.

„Grzeszyłeś bezgrzesznie – zatrzymał się na tych dwóch słowach – czy to możliwe?”

Na szczęście zaraz potem odprawił pierwszą mszę. Po mszy był już znacznie spokojniejszy. W niedzielę na nabożeństwie pojawił się sam Jofka, bez psa. Ponieważ tego dnia ewangelia opowiadała o historii wskrzeszonego Łazarza, proboszcz zastanawiał się

nawet przez chwilę, czy w kazaniu nie powiedziec czegoś, co przypominałoby zwierzę, z którym również w pewien sposób się żył. Był przekonany, że Bury zdechł i dlatego nie ma go w kościele. W końcu jednak uznał, że zrobiłby coś niestosownego. „To był tylko pies – pomyślał – A przecież opowieść o Łazarzu skierowana jest do ludzi”. Stojąc przed ołtarzem, w chwili milczenia zastanawiał się – Czy psy, koty, ptaki i owady, cały przebogaty świat stworzeń ma swoją własną ewangelię, dobrą nowinę o zmartwychwstaniu? Jakimi przykazaniami obdarował je Bóg, prócz mrocznych praw instynktu, który nakazuje walczyć o przetrwanie, płodzić, ochraniać i zabijać? Czy na niebiańskich łąkach, gdzie w zgodzie mają się paść lwy i jagnięta, będą również psy? Czy skoro bycie jaszczurką, kotem, jest mniej chwalebne od bycia człowiekiem, Bóg może skazywać na wieczność byty tak liche, by w swojej lichocie tkwiły bez nadziei na zmianę? Straszne – westchnął ksiądz i pomyślał, że zadając tyle pytań Bogu, zgrzeszył. Po mszy chciał podejść do Jofki, ale przypomniawszy sobie ich ostatnie spotkanie, zrezygnował. Uznał, że rybak jakoś sobie poradzi ze stratą. Wierzył, że znajdzie sobie niebawem nowego psiaka i może tym razem będzie na tyle rozsądny, aby nie przyprowadzać go do kościoła.

Jakież tedy było zdziwienie proboszcza, gdy podczas następnego niedzielnego nabożeństwa u boku Jofki ujrzał „zmarłego”. Pies, wychudzony, siedział u boku swego pana, uważnie słuchał czytań i kazania. Młody ksiądz patrzył na nich z niedowierzaniem, pożegnał się już na dobre z tym widokiem, a tu nagle – Bury wrócił. To go ucieszyło. „Są – pomyślał – to dobrze”.

Całe lato było piękne, padało tylko w nocy, a niemal każdy dzień budził się roześmiany słonecznym blaskiem, więcej ludzi rodziło się niż umierało, szły zapowiedzi. Jedne za drugimi stawały pary przed ołtarzem, aby ślubować sobie wierność i uczciwość małżeńską. Radowało się serce proboszcza i choć zwykle zaproszeń nie przyjmował, wybrał się pewnego dnia na jedno z wesel i było mu tam dobrze. Zjadł doskonały obiad, a kiedy do kawy podano ciasto z truskawkami, dwa razy poprosił o dokładkę. Nie odmówił też kieliszek wiśniówki i z przyjemnością przyglądał się tańczącym. Zrozumiał, że źle ocenił tych ludzi, z pewnością nie byli wykształceni, ale niektórzy z nich byli po prostu mądrzy, prawie tak mądrzy jak Sokrates. Proboszcz miał niejasne przeczucie, że grecki filozof nie pogardziłby ich towarzystwem.

Pod koniec lata, a dokładnie 24 sierpnia, w Dzień Świętego Bartłomieja, kiedy to odlatują do ciepłych krajów bociany, przyszedł list od wuja. Gerard przeczytał – „Szykuj się, siostrzeńcze, twoje sprawy idą w dobrym kierunku. Trwało to trochę i kosztowało zachodu, ale lada dzień spodziewam się odpowiedzi z Kurii. Probostwo, które wkrótce zapewne

otrzymasz, jest trochę zaniedbane, ale szybko sobie z tym poradzisz. Parafianie są zamożni i taca będzie, jeśli tylko nad tym popracujesz, obfita. Powinieneś być zadowolony. Twoi rodzice cieszą się ogromnie”. Perspektywa powrotu do miasta ucieszyła go, ale nie tak, jak przypuszczał. Jeszcze na początku roku, gdyby ktoś powiedział mu – „Możesz wracać choćby dzisiaj” – odjechałby stąd bez mrugnięcia powiek. Teraz było inaczej. Nie zmienił się świat wokół, lecz on. To miejsce odmieniło go. Zaczął się poważnie zastanawiać, czy chce powracać do przeszłości – do matki i ojca, do wuja. Ich miłość i nadopiekuńczość ciążyły mu zawsze, nie podzielał ich poglądów na życie, od lat źle się czuł przy rodzinnym stole, gdzie rozmowy toczyły się właściwie tylko wokół spraw, które go nie interesowały. Wiecznie chodziło o jakieś inwestycje, pieniądze, karierę, czasami rozmowa schodziła na potomstwo siostr – troje rozpieszczonych dzieci, którym już teraz planowano kolejne etapy świetlanej przyszłości. Kiedy zdecydował się pójść do seminarium, sprzeniewierzył się ich planom, lecz kiedy został księdzem zaakceptowali ten fakt i postanowili jakoś mu pomóc – i tam przecież można zrobić karierę. „Będziesz pierwszym biskupem w naszej rodzinie” – mówił wuj – kanonik. „A może papieżem?” – śmiał się ojciec. Gerard nie miał takich ambicji, kiedyś chciał tylko czytać, potem podróżować, teraz coraz częściej myślał o radości wypływającej z każdego dnia, z uczestnictwa w tajemniczym misterium rodzenia się i umierania, namiętności i pracy. Postanowił na tym Bożym świecie wypełniać swoją rolę do końca. Jest kapłanem, nie miał już wątpliwości, że takie jest jego powołanie.

Potem była jesień dżdżysta, chłodna, spadła na świat już pod koniec września, a choć październik okazał się nieco łaskawszy, to listopad przywitał wszystkich pierwszym śniegiem. Przyszły dwa kolejne listy, potem trzeci. Na dwa pierwsze, od wuja, nie odpowiedział. Chciał, ale wciąż odkładał to na później. Trzeci list, od rodziców, był dramatyczny – „Synu, co się z tobą dzieje, czy chorujesz?” – pytali w nim zaniepokojeni. – „Podobno zwlekasz z odpisaniem wujowi. To nieładnie, ten człowiek tak wiele dla ciebie zrobił, dla ciebie i dla nas. Wiemy, że masz wiele pracy, ale to naprawdę ważne dla twojej kariery. Byliśmy obejrzyć probostwo, które masz objąć i możesz być pewien, że warto! To piękne miejsce, wokół kulturalni ludzie, z całą pewnością będziesz tam szczęśliwy”.

Niedługo potem Gerard zachorował, z trudem odprawił mszę w połowie listopada, miał już wtedy wysoką gorączkę i zemdlął przy wyjściu z kościoła. To Jofka pochwycił go w ostatnim momencie, uratował przed upadkiem, a potem zaniósł do plebani. Proboszcz pamiętał, jak rybak trzymał go w ramionach i przez chwilę poczuł się w nich jak dziecko. Resztką świadomości tkwiła w jego głowie, mówił więc coś do Jofki o rybakach – Piotrze i Janie, o Jakubie, o Genezaret i rozmaitych głębiach, dokąd prowadzi nas Bóg, mówiąc –

„Nie lękajcie się”. Choroba była poważna, z miasta przyjechali rodzice z medykiem, chcieli młodzieńca zabrać do siebie, ale lekarz zaprotestował stanowczo – „Ta podróż może się źle skończyć, radziłbym chorego zostawić na miejscu”. Rodzice nie mogli długo pozostać przy synu: ojciec, bo interesy, matka, bo ojciec, przy chorym została więc gospodyni i lekarz, któremu rodzice obiecali solidne honorarium. Zamieszkał na piętrze i codziennie doglądał pacjenta. Bardzo był zadowolony z pobytu na prowincji – właśnie zaczął się adwent, śnieg leżał głęboki, mroźnik trzymał. Lekarz z radością doświadczał wiejskiego życia i niczego sobie nie żałował. Gospodyni musiała mu nieustannie przygotowywać jedzenie, piec ciasto do kawy, przynosić wiśnióweczki, jałowcówki, miodówki. Trwało to prawie dwadzieścia dni. Gerard powoli wracał do zdrowia, na tydzień przed Bożym Narodzeniem wstał z łóżka. Wychudł tak bardzo, że jego żebra nie tylko można było policzyć, ale prawie objąć palcami. W białej koszuli wyglądał jak zjawa, Łazarz powracający z grobu do świata żywych. Tak też się czuł. Z radością wyjrzał przez okno, dotknął ciepłego pieca, zjadł ćwiartkę obiadu. Był pełen wdzięczności wobec Boga, który wyprowadził go ze śmierci, dał jeszcze jedną szansę na poprawę. „Muszę żyć inaczej” – pomyślał młodzieniec. A ponieważ nie wiedział jak, całymi dniami czytał „O naśladowaniu Chrystusa” i rozważał wszystko, czego do tej pory dokonał. Miał już teraz pewność, że nie powinien wracać do miasta. Zaraz następnego dnia napisał listy do wuja i rodziców, były krótkie, lecz klarowne. Wynikało z nich jasno, że nie zamierza obejmować przygotowanego dlań probostwa. „Wybaczenie. Pozdrawiam” – oba zakończył tak samo. Listy zabrał powracający do Gdańska lekarz.

Nabożeństwo świąteczne odprawił młody wikary z sąsiedniej parafii, jowialny Stach Drwęca, chłopski syn, dla którego księżowska sukienka była ogromnym społecznym awansem. On na wsi czuł się doskonale, mówił językiem tych ludzi, śmiał się jak oni i jadł podobnie. „Pewnie woleliby tutaj takiego proboszcza” – pomyślał Gerard i po raz pierwszy spojrzął na siebie oczami miejscowych. Jego erudycja, miejskość, wydały się mu wadą. Przez okno spoglądał na ludzi śpieszących na pasterkę, śnieg padał obficie, było pięknie, jako ostatni zmierzał do kościoła Jofka, za nim, radośnie podskakując, biegł jego pies. „Spóźnili się” – pomyślał młody proboszcz i poczuł w sobie wielką tęsknotę, aby znów stanąć przed ołtarzem, zobaczyć twarze swoich parafian. Nie sądził, że będzie mu ich tak bardzo brakować. Niespodziewanie stali się częścią jego życia, niezbędnym elementem szczęścia. Cieszył się więc, kiedy w następnym tygodniu mógł na trzęsących się nogach ruszyć do kościoła, drżącymi ze wzruszenia ustami wygłaszał kazanie o uzdrowionym słudze setnika, który powiedział do Jezusa – „Panie, nie trudź się, nie jestem bowiem godzien, abyś wszedł pod mój dach”. Łzy cisnęły się mu do oczu, łzy popłynęły po policzkach. Wszyscy to

widzieli, niektórzy też zapłakali. Jofki w świątyni nie było. Gerard bardzo tego żałował, jego i psa wyglądał najbardziej. Nie zaniepokojony tym udzielił wszystkim błogosławieństwa. Po mszy ludzie podchodzili do niego, by życzyć mu zdrowia, powiedzieć jakieś ciepłe słowo, lecz kiedy spytał o Jofkę – zamilkli.

– „Co się stało?” – wyraźnie nie chcieli mówić. „Powiedzcie, ludzie” – prosił.

– „Wpadł pod lód, nie żyje” – powiedzieli wreszcie, spuszczać oczy.

– „Jak to się mogło stać?” – proboszcz czuł, że zaraz zemdleje. Jeden z ministrantów w porę podstawił mu krzesło. – „Jofka poszedł łowić ryby i stało się, lód pękł pod nim. W sam raz przechodzili drogą ludzie z wybudowania za wsią, pobiegli, aby go ratować, ale było za późno. Zmarł z wyziębienia. To było miesiąc temu” – mówili.

– „Miesiąc? – zapytał z niedowierzaniem ksiądz – To niemożliwe”.

– „Dokładnie miesiąc” – zapewniali wszyscy – Pochowano go przy matce, obok kościoła”. Ksiądz zarzucił płaszcz na ramiona i choć ludzie protestowali, a ktoś nawet pobiegł po gospodynię, aby zapobiegła nieszczęściu, wyszedł na mróz, prosząc, by zaprowadzili go na grób Jofki. Tam też razem się pomodlili.

– „A pies?” – zapytał w końcu ksiądz.

Okazało się, że nikt go nie widział od tamtego dnia. Podobno próbował wyciągnąć Jofkę z wody, rzucał się do przerębla. Potem zginął, przepadł.

– „Mój Boże” – westchnął proboszcz i pożegnawszy się ze wszystkimi poszedł do siebie. Po drodze płakał. W domu długo nie mógł zasnąć – jak to możliwe, by zobaczył Jofkę przez okno, skoro nie było go już wśród żywych? Był pewien, że nie było to przywidzenie, widział wyraźnie, jak do kościoła szedł człowiek z psem. Nawet choroba i padający śnieg nie byłyby go w stanie zmylić, poznałby rybaka zawsze – tylko on tak wyglądał, tylko on tak chodził, tylko on miał odwagę przyprowadzić swojego ulubieńca do domu Bożego. Nazajutrz, zanim jeszcze wstała gospodyni, na długo przed świtem ksiądz, mimo że wciąż bardzo słaby, wybrał się w drogę. Ubrał się ciepło, bo mróz od kilku dni solidnie się dawał wszystkim we znaki. Ośnieżonymi wzgórzami powolutku wędrował w kierunku jeziora. Błady świt pojawił się na niebie dopiero wtedy, gdy dotarł do opuszczonej rybackiej chaty. Ostrożnie pchnął drzwi, były otwarte, czuł się dziwnie wchodząc do domu pod nieobecność gospodarza. Rozglądał się wokół wstydliwie. Proste sprzęty pokrywał szron, na podłodze leżało kilka garnków zrzuconych z pieca, na ścianie wisiał święty obrazek – Weronika trzymająca chustę, na której odcisnięta była twarz Zbawiciela. Panował półmrok, cały dom stanowiła jedna izba, w niej znajdowała się sypialnia, jadalnia i kuchnia. Ksiądz wędrował po tym świecie pochylony, starał się chodzić cicho, zachowywał się trochę jak złodziej.

– „Piesku – szeptał – piesku – powtarzał łagodnie – chodź tu, pokaż się, mam coś dla ciebie”
– wyjął z kieszeni kawał pięknie pachnącej, wędzonej kiełbasy. Kiedy już zaczął tracić nadzieję, zobaczył go. Pies leżał pod łóżkiem i bacznie przyglądał się obcemu. Nie warczał, gdy ksiądz wyciągnął do niego rękę, zjadł kiełbasę ze smakiem, pozwolił się pogłaskać. Zachowywał się tak, jakby był przygotowany na przyjście tego właśnie człowieka. Mocno wychudzony, wyszedł spod łóżka i zamachał niepewnie ogonem.

– „Nazywasz się Bury – ksiądz nie pamiętał, że było mu na imię Migus. „Bury” – powtórzył. Spojrzał uważnie na psa i zdziwił się – „Ty wcale nie jesteś psem, tylko suczką”.

Rozbawiło go to, bez lęku obwiązał szyję psa sznurkiem, który zabrał z plebani. Miał jeszcze obawę czy zwierzę zechce opuścić dom swego pana, ale nie było z tym problemu. Psiak dreptał dziarsko przy nogach księdza, który powoli piął się na wzgórze. Promienie wstającego słońca ślizgały się po powierzchni jeziora, odbity blask raził oczy, zapowiadał się piękny, słoneczny i mroźny dzień.

Tymczasem zaniepokojona gospodyni sprowadziła na plebanię paru chłopów ze wsi. Mieli oni rozbiec się po okolicy i szukać księdza. Na widok powracającego, kobieta rozplakała się.

– „A coście myśleli, że rozum straciłem?” – śmiał się proboszcz.

– „Po prawdzie, tak – odparła dziarsko gospodyni – ale widzę, że wiele się nie pomyliłam” – dodała wycierając oczy i nos w wielką chustkę. „Co to?” – pokazała na psa, który siedział grzecznie za prawą nogą Gerarda.

– „Pies, będzie z nami mieszkał” – odparł ksiądz.

– „A gdzie?” – pytała.

– „Wszystko się zobaczy, na razie u mnie. Musi dojść do siebie – ustalili – A teraz podaj nam śniadanie, bo strasznieśmy głodni. Nie żałuj wędliny dla mojego nowego towarzysza”. Gospodyni wzruszyła ramionami

– „Też mi coś – burczała pod nosem – jaki on nowy, to przecież Bury Jofki. Nie jestem ślepa”. Ksiądz, patrząc w oczy psa, od razu wiedział, że nie odda go nikomu.

– „Można by go do budy” – zaproponowała kobieta, podając swemu chlebodawcy filiżankę kawy, a psu miskę ciepłego mleka.

– „Do żadnej budy on nie pójdzie – odparł Gerard – to mądry pies, myślę, że będzie moim ministrantem. Wiem, że lubi chodzić do kościoła”.